

**DANYLO ILNYTSKYI**

Ukraiński Uniwersytet Katolicki (Lwów)  
<https://orcid.org/0000-0003-4114-1304>

## Pierwsza jesień. Esej o Drohobyczu (dla Drugiej jesieni)

### First Autumn. An Essay on Drohobych

#### Abstract

This essay belongs to the genre of private urban planning. The first fragments are stories about failing to meet the town during assorted times of the year – spring, summer, and autumn. Finally, there appeared the *first autumn* – the space-time of a more profound entry into the town and greater familiarity, a mutual acceptance of the town and the author of this text. The first Drohobych autumn became a point of departure for further acquaintance and immersion in the town – in historical, cultural, and anthropological perspectives. Despite its integrity Drohobych is a collage, a town of accumulating historical periods, architectonic styles, as well as national and ideological narrations. The moods and visions of private urban planning, proposed by the author, are one of the possible opinions about the town, which became a significant topos worthy of subjective reception and syncretic narration. *First Autumn* is a myth about the town, a private and topological myth, a myth of a modest subject, a myth that ultimately disperses, but remains remembered. This is a story about a condensed, emotional encounter with the town, additionally reinforced with the aroma of a warm autumn, a town that changed into an oneiros and remains remembered as such. An essay about self-willed moving about the town and touching it, a story that ends with yet another reflection about the essence of Drohobych.

**Keywords:** Drohobych; anthropology

#### Abstrakt

Esej należy do gatunku prywatnej urbanistyki. Pierwsze fragmenty to historie o mijaniu się z miastem w różnych porach roku – wiosną, latem, jesienią. Aż w końcu nadeszła pierwsza jesień – czasoprzestrzeń głębszego wejścia w miasto i bliższego poznania go, wzajemnej akceptacji miasta i autora niniejszego tekstu. Pierwsza drohobycka jesień stała się punktem wyjścia do dalszego poznawania i zanurzania się w mieście – w historycznych, kulturowych i antropologicznych perspektywach. Mimo swojej integralności Drohobycz jest bowiem kolażem, miastem nawarstwiających się okresów historii, stylów architektonicznych, narodowych i ideologicznych narracji. Zaproponowane przez autora nastroje i wizje prywatnej urbanistyki są jednym z możliwych głosów na temat miasta, które stało się ważnym toposem, wartym subiektywnej recepcji i synkretycznej narracji. Pierwsza jesień to mit o mieście, mit prywatny i topologiczny, mit skromnego podmiotu, mit, który ostatecznie się rozwiewa, ale zostaje zapamiętany. To opowieść o skondensowanym, emocjonalnym, wzmocnionym dodatkowo zapachem ciepłej jesieni spotkaniu z miastem, które przemieniło się w oneiros i w tej postaci osiadło w pamięci. To esej o własnowolnym poruszaniu się po mieście, dotykaniu go, to opowieść, która kończy się ponowną refleksją nad istotą Drohobycza.

**Słowa kluczowe:** Drohobycz; antropologia

#### O autorze

**Danylo Ilnyckyj** – literaturoznawca, eseista, muzyk, doktor nauk humanistycznych, docent Katedry Filologii Ukraińskiego Uniwersytetu Katolickiego we Lwowie. Opracował trzy wydania prac Bohdana Ihora Antonycza: *Try persteni* (2008), *Powne zibrannia tvoriv* (2009), *Wybrani twory* (2012). Współredaktor *Muza i czyn Ostapa Łučkoho* (2016), autor encyklopedii *Antonycz wid A do Ja* (2017), współautor publikacji *Jan*

*Andruszewski, Z ziemi łąz i piękna (2023)*. Zajmuje się badaniami literacko-teoretycznych i artystyczno-intelektualnych dyskursów Lwowa i Galicji lat 20. i 30. XX wieku w perspektywie międzykulturowej; interesuje się problemem psychologii twórczości, dyskursem ukraińskiego modernizmu, literaturą Lwowa, konceptem tekstu lokalnego oraz ukraińskim rockiem literackim. Członek zespołu muzycznego Try kroky w nicz.

Takiej jesieni jak w Drohobyczu,  
nie ma nigdzie indziej...  
Jest kompletna i autentyczna

Ewa Rajska, *Jeszcze jedną jesień...*, 2018

Drohobycz  
~ w nim  
cała sól ~  
napis na kubku

Uwaga: urbanistyka prywatna!

### Wiosna?

Przez długi czas nie znałem Drohobycza. Nie miałem ani okazji, ani wystarczającej ilości szczęścia, by się z nim zapoznać.

Miasto miało szumną nazwę, było ważnym ośrodkiem obwodu lwowskiego, z którego pochodziło wiele osób, miastem cieszącym się opinią jednego z najlepiej rozwiniętych w regionie, w końcu – miastem, które było w pewien sposób przereklamowane. Te moje ogólne wyobrażenia o Drohobyczu nie bazowały bynajmniej na osobistym doświadczeniu i własnej recepcji jego przestrzeni.

Wyjątkowość Drohobycza jako oczywisty i przyjęty z góry dogmat była zbyt abstrakcyjna, jednak to ona stała się motywacją, aby ostatecznie przyjechać do tego miasta w ramach kolejnego cyklu studenckich wycieczek do galijskich miast i miasteczek.

Przyjechaliśmy więc marszrutką. Nasza kilkuosobowa grupa nie była zbyt dobrze przygotowana do spaceru po mieście. O drohobyckiej soli mało kto w ogóle słyszał, podobnie zresztą jak o samym Brunonie Schulzu. Niektórzy z nas mogli wprawdzie widzieć to nazwisko na grzbietach dwóch wydań przekładów Andrija Szkrabjuka. Wiedzieliśmy już o tym, że Schulz jest ważny. Nie wiedzieliśmy jednak dlaczego i po co.

Z istnienia Drohobyckiego Uniwersytetu Pedagogicznego im. Iwana Franki zdawaliśmy już sobie chyba sprawę, choć rzecz jasna on sam nas, czyli studentów z Lwowa, mało co interesował. Jeśli zaś chodzi o Iwana Frankę, to w tym przypadku nie było żadnych wątpliwości. Był nasz. Nasz, czyli lwowski. To rozumiało się samo przez się. Uwielbialiśmy go, mieliśmy go na co dzień pod dostatkiem, czasami nawet aż do przesytu. Wybierając się do Drohobycza, wcale nie do Franki chcieliśmy się więc zbliżyć. Podążaliśmy raczej w przeciwnym kierunku. Takie było przynajmniej założenie.

Tamten wyjazd zapamiętałem jako deszczowy, letni wieczór wypełniony dość nerwowymi próbami zapoznania się z miastem. Chociaż biorąc pod uwagę lekki chłód, równie dobrze mogłaby to być wiosna. Dlaczego nie? Nasza grupa nie była specjalnie zgrana, relacje nie były dotarte przez czas, zdarzały się utarczki... Pożądane nie stawało się rzeczywistością, a rzeczywistość wokół była, no właśnie – niepożądana. Napięcie, które towarzyszyło wędrownikom kolejnymi ulicami późnym wieczorem aż do zmroku, odci-

DANYŁO ILNYCKYJ

## Pierwsza jesień: esej o Drohobyczu (dla Drugiej Jesieni)

snęło w pamięci doświadczenie czegoś, co się nie odbyło. Tamtego razu minąłem się z miastem, nie poznałem go.

Najprzyjemniejszym wspomnieniem pozostał moment wysiadania z marszrutki w rodzinnym mieście.

### Lato

W planach lipcowego wyjazdu na festiwal *Franko. Misja do Nahujowic* nie widniał ani punkt pobytu w Drohobyczu, ani w Truskawcu. Jednak w wirze festiwalowych splotów logistycznych przypadło mi zadanie odebrania kogoś z hotelu w Truskawcu i odwiezienia go wieczorem z powrotem.

W obu przypadkach w samochodzie obok mnie siedzieli miejscowi, którzy niezależnie od braku oświetlenia drogowego i wówczas jeszcze niemilosiernie dziurawej jezdni, wyczuwali swoje rodzime terytorium niemal po omacku i kierowali mnie zawsze we właściwym kierunku. Dzięki temu mogłem skupić się na tym, aby wsłuchiwać się w ich rozmowy.

Na miejscu okazało się, że jeden ze znajomych moich znajomych musi niezwłocznie pojechać do Lwowa, więc chętnie zaproponowałem podwózkę. Kiedy więc wszyscy goście festiwalowi, których wiozłem do Truskawca, zameldowali się już w swoich pokojach hotelowych, ja i mój jedyny już pasażer musieliśmy samodzielnie trafić do głównej drogi, przy czym robiąc to tradycyjnym sposobem, czyli korzystając ze znaków drogowych i co jakiś czas zasięgając języka u napotykanym ludzi.

Wychodzi na to, że po wyjeździe z Truskawca trafiłem w pole przyciągania Drohobycza. Długo i niewytłumaczalnie błądziłem, to zjeżdżając, to wjeżdżając na główną szosę. Kilka osób, które desperacko prosiłem o pomoc, zatrzymując swój stary samochód, z niczym niezmaconym spokojem w głosie przekonywało mnie, że właściwy skręt jest tuż-tuż.

W pewnym momencie pozwoliłem sobie na nerwowy, choć leksykalnie przyzwoity opis mojego stanu zakleszczenia. Natychmiast zrobiło mi się wstyd przed współpasażerem, którego wyraz twarzy do dziś staje mi przed oczami, kiedy wspominam harce, które wyczyniał z nami hochsztapler Drohobycz.

Trudno to inaczej nazwać, skoro nie wjeżdżając bezpośrednio do Drohobycza, długo nie mogłem z niego wyjechać. A przecież później za każdym razem z łatwością miasto wypuszczało mnie ze swego terytorium, wysyłając w dodatku do pomocy mieszkańców miasta, którzy ratowali mnie trafnymi wypowiedziami.

Ale co mogło to oznaczać? Miasto spało? Chyba tak.

### **Nieuświadomiona jesień**

Zawsze sobie powtarzam: samochód należy naprawiać zawczasu, żeby później nie musieć się spieszyć. Ale i tym razem było jak zawsze. W dniu wyjazdu wymienilem w aucie jakąś ważną część, żeby móc bezpiecznie przejechać trochę dalej niż...

Ruszyliśmy stryjską trasą do Drohobycza. Tamtego dnia Dziadkowi<sup>1</sup> uroczyste wręczano dyplom Doktora Honoris Causa Uniwersytetu w Drohobyczu.

Drohobycz mojego Dziadka nigdy nie interesował mnie szczególnie. Nie żeby Dziadek przemilczał ten okres swojego życia, ale w swoich opowieściach nie odwoływał się do emocjonalnych metafor i figur, które pozwoliłyby później tworzyć eseje w nurcie prywatnej urbanistyki. A mimo wszystko to tutaj właśnie minęło jego studenckie życie, tutaj miały miejsce początki błyskotliwej kariery naukowej, to tutaj miał swoje środowisko i to tutaj działo się wiele ważnego i nieprzystającego do otaczającej sowieckiej rzeczywistości.

Nie mogę jednak powiedzieć, że chodziło o jakiś szczególnie drohobycki urok. To było raczej coś uniwersalnego, niezbędne zawsze i wszędzie we wszystkich szerokościach geograficznych.

Jechaliśmy więc do Drohobycza, rozmawiając o wszystkim poza – nie da się ukryć – samym Drohobyczem. Nagle doszły mnie jakieś dźwięki. Coś stuknęło, a potem ciągnęło się za nami. No masz, w ten sposób nie było szans na dotarcie do celu. Tłumik odczepił się od rury wydechowej i trzymał się tylko z jednej strony. Jak dziecko zacząłem myśleć o kimś dorosłym, kto może pomóc w tej sytuacji. Szybko zdałem sobie sprawę, że wiozę uczonego, a nie majstra-złotą rączkę. Dzięki Bogu, przypomniałem sobie, że w bagażniku wiozę cały zapas pasków zaciskowych. Jednym z nich przymocowałem tłumik do głównej części rury wydechowej. Pojechaliśmy dalej.

To znowu ten Drohobycz i jego wybryki.

Na miejscu nie było czasu, abyśmy razem spojrzeli na miasto i choć przez chwilę porozmawiali o nim. Zaparkowaliśmy i od razu udaliśmy się na uczelnię. Impreza odbywała się zgodnie z kanonem sztuki, a po niej była jeszcze kolacja w wąskim gronie.

Tak znowu minęliśmy się z miastem. Po akademicku taktownie, ale mimo wszystko minęliśmy się. Inna sprawa, że dla Dziadka była to rzadka w obecnym tempie życia możliwość wizyty na jego *Alma Mater*. Ważne, że byłem obok. Ważne nie dla niego, to było ważne dla mnie.

Gdzieś między tym wszystkim odnalazł nas starszy człowiek, etnograf, który zgłosił się po godzinny wywiad z Dziadkiem. Opiekował się wówczas nami profesor My-

chajło Szałata<sup>2</sup>. Wyszło więc tak, że następną godzinę miałem spędzić w jego towarzystwie. I jeśli faktycznie istnieją rozmowy „jedna na całe życie”, to ta niewątpliwie była jedną z nich. Kiedy tematem dyskusji jest to, co nazywa się wszystkim na świecie. Choć milczałem, słuchając profesora, to jednak w jego ufnym i pełnym powagi stosunku do mnie jako współrozmówcy było być może więcej szacunku niż u wielu tych, którzy mnie w życiu słuchali. Dziś, po śmierci profesora, pozostaje mi doceniać ten fakt, że w moim archiwum pamięci i doświadczenia przecho-wuje się ta obfitująca w sensy rozmowa z jedną z najważniejszych osób w historii tego miasta.

Wychodzi na to, że lokalna przestrzeń Drohobycza, z wyraźnie wyczuwalnym *genius loci*, była dla Mychajła Szałaty przestrzenią idealną do rozwoju i własnej realizacji. Przede wszystkim dlatego, że do ostatnich dni odczuwał potrzebę nie tylko pisania i wykładania, ale także uczestniczenia w dynamice, która wydobywa wewnętrzną przestrzeń tekstu i inspiruje do wychodzenia na plac, bezpośrednio do publiczności, by idee stawały się ważne społecznie. Zwykle nazywa się to społecznym rezonansem kultury lub jeszcze mniej pociągająco – działalnością społeczno-kulturalną.

Poza tym wszystkim fascynowała mnie w profesorze Szałacie niechęć do wszelkiej ortodoksyjności, czym grzeszy wiele lwowskich autorytetów intelektualnych. Przestrzeń Lwowa pomimo swego zróżnicowania, razi bowiem zarozumiałością i niechęcią poszczególnych środowisk względem siebie, zbytnią pewnością siebie, niezrozumiałym przekonaniem o własnej misji, ultraprawdziwości własnych metodologii, etc.

Doprawdy heurystycznym przeżyciem była dla mnie wiadomość, że Mychajło Szałata pisał o Brunonie Schulzu. Te niestereotypowe relacje podmiotu i obiektu stały się pierwszą drohobycką epifanią, ponieważ w jednej chwili uświadomiłem sobie, że dzięki takiemu zainteresowaniu krajobraz miasta uzdrowia się, normalizuje, zsywa niejako na nowo. I chociaż czasami staje się jedynie scenografią jego przeszłych, teraźniejszych i przyszłych doświadczeń, to jednak bez pozycjonowania któregokolwiek z nich jako jedynie ważnego.

W przypadku Mychajła Szałaty główną zasadą była autentyczność. Nie manieryczna optyka czy intelektualnie wyrafinowana metoda, ale po prostu autentyczność, która budzi ciekawość i szacunek, bez nakładania hierarchicznych gorsetów i bez wyznaczania autorytarnie, co powinno znaleźć się w obiektywie, a co tego prawa jest pozbawione.

Do profesora Szałaty można było najwzyczajniej w świecie zadzwonić i wsłuchiwać się w jego historie, opowiadane jak zawsze z ufnością i szacunkiem do słuchacza. Jego przyjazna, powstająca między wypowiedzianymi słowami aura nie była ostentacyjna, w stylu strząsania gwiazdowego pyłu z profesorskiego ramienia i samozadowolenia z powodu własnej otwartości na świat. To był rodzaj ciepłej energii pochodzącej od świecy, która spala się w kontaktach z innymi, ale, być może uświadamiając sobie cenę, nie potrafi się przed tym powstrzymać. Taki był dramatyzm osobowości Mychajła Szałaty, przede wszystkim zaś jego

polifunkcyjności, za którą nieraz krytykowali go przedstawiciele środowiska, ale cóż... taka była jego natura...

Wizyta w Drohobyczu, wówczas, w 2014 roku w sposób skondensowany ukazała postać Mychajła Szałaty, ustaliła standard dyskusji, który we wspomnieniach pojawia się nie tylko jako leczenie kulturą, ale także jako niewymuszony, ledwie dostrzegalny wzorec.

Tymczasem, jak na spotkanie z miastem, tamta wizyta nie była świadoma. Wizyta, która, nawiasem mówiąc, niemal zbiegła się z datą śmierci Schulza. Wówczas jednak w ten sposób o tym nie myślałem.

### Lato!

Jako cel podróży, która miała pomóc wydobyć się z codziennej rutyny, Drohobycz został wybrany niespodziewanie, ale bez wahań. Była końcówka upalnego lata. Rzeczywiście nie pozostawało nic innego, jak obrać właśnie ten kierunek. W tamtym czasie proces poznawania Drohobycza, choć zdalny i zdawkowy, zaczął się już na dobre, więc należało go kontynuować. Chciałem spojrzeć na miasto razem z jego mieszkańcami. Jednak na to było jeszcze za wcześnie. Jak na picie kawy z solą. I to pomimo tego, że kawiarnia Kawun stała się dla mnie pierwszym lokalem, który świadczył o Drohobyczu jako przestrzeni o nowoczesnym klimacie, pokazującym, że miasto ma potencjał do stworzenia czegoś oryginalnego i odgrywania istotnej roli na polu turystyki kulturowej. Nieco to prymitywne przełamywanie stereotypu, ale cóż zrobić, skoro skuteczne.

Rozmowa nie kleiła się zbyt mocno, była sztywna i pełna napięcia. Mimowolnie przypomniła mi się atmosfera pierwszej wizyty w Dro dekadę wcześniej.

Owo napięcie nie stanęło jednak na zawadzie temu, by kątem oka dostrzec małe uliczki, które niczym myszki rozbiegają się od strony rynku, tworząc atmosferę labiryntu. Tak, to Schulz. Na tamten moment zdążył już on stać się ważnym, mitologizującym przestrzeń echem. Wtedy mogłem już przeprowadzić pewne korelacje. Chociaż wciąż nie byłem należycie do tego przygotowany. Moje pierwsze wrażenie związane z tymi małymi bazarowymi uliczkami, które biegną od rynku w stronę synagogi, doskonale zapamiętałem do dziś.

I chociaż później, wielokrotnie przechodząc tymi ulicami, niemal rozproszyłem swoje pierwotne spojrzenie (ujrzenie?), to jednak w przestrzeni pamięci nie traci ono swojej mocy.

Tak, zgadza się, Schulz. W pewnym sensie uratował on tamtą wizytę w Drohobyczu. Niewielkie muzeum pisarza z wyświetlanymi na ekranie fragmentami kroniki nasyciło poznawczo cały wyjazd. To właśnie tam po raz pierwszy poznałem historię Alfreda Schreyera, którego wcześniej nie znałem. Biografia tego artysty, a także jego własna opowieść – nie tylko ze względu na stosunek do Schulza – wydały mi się niespodziewanie istotne i intrygujące. Nie mówiąc już o wymownym fakcie, że Schreyer pozostał w Drohobyczu i spędził tu niemal całe swoje ży-

cie. Takie historie, szczególnie na tle licznych literackich narracji o utraconym mieście, są nie tylko rzadkie, ale i symptomatyczne.

Miałem już wówczas świadomość, że Drohobycz ma jeszcze wiele do zaoferowania, ale jednocześnie – odczuwając to jako swoiste post-wrażenie po przechadzce po słonecznym, *tourist friendly* mieście – wyraźnie uświadomiłem sobie, że długo i w napięciu oczekiwana ekstaza mimo wszystko nie nastąpiła.

Pamiętam, jak samochód wymyślnymi serpentynami wyjeżdżał wraz ze mną z drohobyckiej niecki. Nie wiem długo, ale dokładnie wiedziałem już, że tu wrócę.

Teraz czuję wdzięczność za tamtą wizytę, tym bardziej że nie odwdzięczyłem się mu należycie. Drohobycz jednak nie wygnał mnie, a jedynie wypuścił, odprowadzając ciepłym uśmiechem.

### Pierwsza jesień...

Wielu nie lubi jesieni. Nie, nie tak. Wśród ludzi nie brakuje osób, które uważają, że kochanie jesieni nie jest czymś oczywistym i zrozumiałym samo przez się. Cóż, niechby i tak.

Natomiast Andrij Sodomora kocha jesień. Kiedyś wyznał mi, że według niego to właśnie jesień oddaje całą paletę uczuć.

Mam podobnie.

...Jesień.

Początek miesiąca, nazwanego tak od koloru żółtych liści (ukr. *żowteń*) – jeszcze nie opadłych, wciąż mocno osadzonych w gałęziach drzewa. Otrzymałem zaproszenie do odwiedzenia Drohobycza. Czując niewytłumaczalną siłę popychającą ku decyzji, zapragnąłem to zrobić natychmiast. Należało w końcu poznać to miasto!

Bo dlaczego nie pozwolić sobie na ucieczkę od obowiązków i sidła czasu, by odwiedzić, pobyc, zobaczyć, poczuć, poobcować?

...Obudzić się wczesnym rankiem, aby jak najszybciej dostać się do miasta i spędzić w nim maksymalną liczbę godzin z dziennym światłem, zabrać ze sobą termos z herbatą i tabliczkę czekolady, a także spakować książkę do przeczytania w trakcie podróży. Stojąc na przystanku, z którego ma cię zabrać autobus, zdawać sobie sprawę, że nie jedziesz w żadnych celach służbowych: ani na spotkanie z pracodawcą, ani na rozmowę o projekcie, ani by coś załatwić, odwiedzić krewnych, wziąć udział w konferencji, otwartej imprezie, zamkniętej imprezie, nie jedziesz ani na grzyby, ani jagody, nie masz zamiaru też łowić ryb, ani czynić czegokolwiek z tego, co hipsterski czy też po prostu galicyjski pragmatyczny umysł uznałby za waste czasu, wysiłku i środków.

Albo innym razem, wcześniejszym lub późniejszym, kiedy jedziesz samochodem, wkładając do bagażnika wszystko, czego potrzebujesz, nawet jeśli to tylko na jeden dzień, bez zabierania autostopowiczów, po prostu jedziesz, żeby przyjechać, a przyjeżdżasz – aby być.

Aby od samego rana opuszczać koncentryczne kręgi obowiązków i produktywności, odczuwać nadchodzący

dzień, który dopiero pączkuje, spoglądać na słońce, idąc sprężystym krokiem po asfalcie w kierunku przystanku autobusowego lub mrużąc oczy od ukośnych promieni za przednią szybą samochodu.

A jednak sumienie, jakimś obcym głosem w podświadomości, wciąż wyrzuca ci, że po długim okresie bycia wszędzie na czas, tak po prostu jedziesz do innego miasta! I tym razem wybór pada na Drohobycz.

Zwykle jedzie się do Drohobycza trasą stryjską, po czym skręca się w prawo i trafia w ten sposób do Medenic. Tylko wtajemniczeni wiedzą, że należy wpiery zahaczyć o Szczerzec, po którym i tak dociera się do tych samych Medenic, ale szybciej i bardziej klimatycznie. Zamiast licznych ciężarówek i niebezpiecznie szybkich samochodów trafia się wówczas w bardziej lokalny klimat, mijając wpiery żółte pola, a następnie żółty las. Jak się później okaże, trasa szczerecka, w przeciwieństwie do stryjskiej, lepiej nastroja na drohobyckie historie, przedstawia, jeśli można tak się wyrazić, na wąskie tory tego miasta.

Jazda raczej dynamiczna niż ospała, okna uchylone, powietrze wpadające do środka strumieniami, słońce świecące jaskrawo, prawie jak latem, ale jednak to słońce jesienne – nieagresywne i nieinwazyjne. Słońce doświadczane. Na niebie prawie nie ma chmur. Pierwsza jesień zaczyna się jeszcze przed wjazdem do Drohobycza. Mijasz szerokie pola, a na horyzoncie dostrzegasz niskie pasma gór. Odczuwasz chęć obserwacji i obecności. W mieście? Z kimś w mieście? Ze sobą w mieście? Przyciąga cię drohobyckie nie(po)znane – wzmocnione polami, górami, słońcem, w końcu prądami powietrza drohobyckiej jesieni, które rytmicznie przenikają do wnętrza samochodu. Przeczuwasz Drohobycz, wjeżdżając do regionu, którego jest stolicą. Miasto staje się zwieńczeniem pól i gór, które prowadzą do niego, ścielą się przed nim, jest ich średnią arytmetyczną, kondensacją krajobrazu, który fluktuuje w bruk, kamienice, świątynie, uniwersytet, wąski szczyt, na który się wspinasz, aby następnie powracać przez góry i pola. Zwykle w nocy, ale niekoniecznie. Drohobycz określa się poprzez otaczający go krajobraz, który od zawsze towarzyszy mu prologami wjazdów i epilogami wyjazdów.

Radio samochodowe serwowało koncerty Josepha Haydna na instrumenty dęte blaszane – najpierw na trąbkę, a następnie na róg. Akurat przechodziłem okres kolejnego zanurzenia w muzyce klasycznej, dyktowanego potrzebą odnalezienia się na nowo za jej pomocą. Był to czas uważnego, niemal zawodowego wsłuchiwania się i odczuwania emocjonalnego porozumienia z wybranymi utworami. Klasycznie medytacyjna, nieco elegijna intonacja Haydna, zwłaszcza zaś wolne partie nałożyły się na pierwsze wrażenia z Drohobycza. Czy może raczej oczekiwania wobec miasta. Te z kolei stały się wspomnieniami, emocjonalnymi rekonstrukcjami recepcji pierwszej drohobyckiej jesieni.

Przecież niezwykle istotne jest, z jakim nastawieniem, w jakim momencie i trybie przychodzi się do miasta. Właśnie to określa przyszłą z nim historię i wspólną trajektorię.

W innym mieście szukasz siebie, potrzebujesz nowych konfiguracji krajobrazu (jednocześnie zbliżonych do tych, do których jesteś przyzwyczajony), aby otworzyć się na nowy sposób, wyruszyć w podróż poza utarte kręgi. I nie chodzi tylko o codzienną rutynę, ale także o wewnętrzny utarty (starty?) sposób postrzegania.

Inne miasto, mimowolnie dla siebie, mimowolnie dla ciebie, staje się filtrem, cykliczną procedurą oczyszczenia. Czymś na kształt herbaty ziołowej po długim okresie picia kawy.

A jednak Drohobycz nie zaczyna się od herbaty, a właśnie od kawy. Tyle że z solą. Pierwszy przystanek to bowiem kawiarnia Kawun poznana jeszcze minionego lata. Firmowa drohobycka kawa z solą, przemianowana później na „espresso po drohobycku”, smakuje wybornie i – wbrew kofeinie – kojąco. Jeśli stymuluje, to nie do gwałtownych czynów, lecz raczej do długiego spaceru i rozmowy. Kawę, nawiasem mówiąc, należy wymieszać przed wypiciem, o czym informują niestrudzeni bariści przy każdym zamówieniu.

Stanie się to rytuałem na początku każdej kolejnej wizyty w Dro: każde kolejne wejście do miasta będzie musiało rozpocząć się od kawy i soli. To swoisty punkt odniesienia, by móc później poruszać się odśrodkowo, poznawać miasto w rozmowach w drodze, rozmowach powtarzających się, nakładających jedna na drugą. Czasem w środku dnia będę wpadał tu znowu, żeby napić się kawy, planując trasę tak, aby wahadłowo powracać w okolice rynku. Jakby ta słona kawa za każdym razem pomagała się na nowo pozbierać, uziemiać drohobyckie epifanie, chociaż i tak pierwszy smak będzie zawsze najlepszy.

Kawa rezonować będzie jeszcze długo w kubkach smakowych, podobnie jak ciasto z solą – nie mniej drohobyckie i choć mniej rozreklamowane, to nie mniej słone. A w mej głowie pobrzmiewać będą echa klasycznej muzyki, z którą tu przybyłem. Wcale nie najbardziej rozpoznawalne motywy przewodnie, ale przepracowane podźwięki, które jakoś poziomo osiadły w pamięci.

Hmm, czy Drohobycz jest klasyczny? Czy pasuje mu salonowy akademizm osiemnastowiecznej muzyki europejskiej? W każdym razie jedną z moich pierwszych przyjemności jest fragment starej Europy w samym centrum miasta. I nie ma znaczenia, że reprezentuje go tylko jedno miejsce – kościół św. Bartłomieja Apostoła. No, chyba że wliczyć jeszcze plac ze skwerem wokół niego. Labiryntowe, nadzwyczaj przyjemne uliczki będą jeszcze utrwalać to poczucie przytulnej europejskości. Jeszcze nie zmanierowanej, nie ostentacyjnie turystycznej, a takiej, która jest w stanie zawieszenia i dzięki temu pozwala odwiedzającemu współtworzyć przestrzeń.

A więc szedłem i wołałem cicho: „Cóż za cudowne miasto! Jakże tu cudownie!”. Robiłem to cyklicznie, na zasadzie hipnotyzującego refrenu piosenki... Nie wiem już, czy chciałem uczynić gest wobec miasta i jego mieszkańców, czy chodziło jedynie o artykulację stanu zdziwienia i radości z powodu przytulnej lekkości przestrzeni.

Wykrzykiwałem to zarówno wśród brukowanych uliczek miasta-labiryntu, jak i jego bardziej oddalonych spokojnych dzielnic. I mimo że wciąż jeszcze tam byłem, wyobraźnia już kreowała plany na kolejne wizyty, będące odtąd stałą szansą, odnalezioną drogą czy, jak kto woli, wynalezioną metodą. Przyjechać, aby się wyciszyć. Przyjechać, aby wyjść z kręgu ustalonych sekwencji działania i komunikacyjnej kafeonii. Przyjechać, aby rozmawiać. Choćby i dlatego. A niekiedy i przede wszystkim dla tego. Prywatna ekskursja, prywatne historie, retrospekcje i konteksty były najważniejszym powodem moich rozszerzonych źrenic i nastrojonych uszu.

Świeżość. Później uświadomię ją sobie, ale na początku był to jedynie odruchowy magnetyzm. Świeżość spojrzenia na znany bruk, świeżość spojrzenia na pozornie znane strategie architektoniczne austriackich i polskich czasów w Galicji, w końcu świeżość spojrzenia na szutrowe drogi drohobyckiego poza-centrum z jego kałużami i krzywiznami, świeżość nowego wrażenia, które rozbudza świadomość i kusi nieoczywistością. Jeszcze nie rozsmakowałem należycie miasta. Dopiero co przecież wypilem kawę i zjadłem ciasto, jedno i drugie – z solą. Czas wprawić się w ruch.

Miasto staje się świadkiem, a nawet mimowolnym współnikiem twojej ucieczki. Od obowiązków reżimu dnia codziennego, od napięcia podczas podejmowania decyzji, od odpowiedzialności, która pozostaje włączona w trybie pracy w tle. Ulice innego miasta niczego nie wiedzą o twoich *deadline*'ach, niczego nie obiecałeś ani im, ani nikomu innemu w ich obecności. Niczego o tobie nie wiedzą. Możesz rozplynąć się w nienaznaczonej przestrzeni. Czy to źle?

Miasto staje się współnikiem okazjonalnej wolności – tej, która na chwilę pozwala lepiej zrozumieć nie tylko to, co nazywa się codziennym trybem, ale i tej, która pozwala lepiej zrozumieć samego siebie. Miasto daje poczucie, że w krajobrazie-labiryncie z jego uliczkami i wszystkim wokół można być inaczej. I że w ogóle można inaczej.

Dzień rozpoczęty kawą z solą kończy się kolacją w Lokalu na Pańskiej. Jestem już z miastem w kokietliwej relacji poufności, wymieniając z nim uprzejmości z lekko ironicznym uśmiechem, kiedy nie wiadomo, co weźmie górę: zbliżenie czy rozstanie. Zauważam przez okno wrośnięte w brukowaną ulicę drzewa z pożółkłymi liśćmi. Słońce zdąży jeszcze odprowadzić mnie promieniami swego zachodu. Po powrocie do domu pierwsze, co ujrzę, to moi rodzice grabiący opadłe liście orzecha.

Pojawiło się we mnie pragnienie drohobyckich powrotów. Wjazdów i wyjazdów. Znowu i znowu, by sprawdzić się na tych marszrutach, sprawdzić miasto, odczuć dynamikę wewnętrznej optyki wobec zewnętrznej przestrzeni, jej płynnego życia, jej zmiennych konfiguracji.

Każdy element trasy, każdy wjazd i wyjazd stąd, czy to główną serpentyną z widokiem na panoramę miasta w jego części przemysłowo-mieszkaniowej, czy to po zamiejskiej kostce brukowej na ulicy Truskawieckiej, czy to w dzień, czy to w nocy, rezonuje na swój sposób. Ale

zawsze drohobycki. Kiedy krajobraz, kolory i zapachy pory roku stają się tak bardzo namacalne w pamięci. Stają się właśnie drohobyckimi. Czy to źle? Mnie to odpowiada. Znowu chcę do Drohobycza.

Chcieć do Drohobycza to chcieć wjeżdżać do niego tymi samymi, już poznanymi szlakami, swoistą symboliczną bramą, która za każdym razem łączy się z tym, co przeżyłeś i czego doświadczyłeś tutaj wcześniej.

Co ciekawe Drohobycz można poznawać, poruszając się po jego głównych ulicach, z których każda prowadzi do miasta z innego kierunku. W ten sposób można zszywać Drohobycz, wchodząc i wychodząc z niego innymi trasami. Trzeba testować różne sposoby, aby się tu dostać i później stąd wydostać. Każda z tych ścieżek jest inna, ale każda w odwrotnym, dośrodkowym kierunku wiedzie ostatecznie do areny drohobyckich oczywistości i pułapek.

Chcę zatem ułożyć mój własny Drohobycz. Znajdą się w nim rysunki, obrazy, grawiury, zdjęcia, konkretne wycinki krajobrazu. W efekcie ma powstać nie kanon, a jedynie koronka utkana z nasłonecznionych miejsc mojej pamięci.

#### *Brukowana uliczka*

Jakby chciała mnie ukryć. Jestem tu w jakimś dziwnym bezpieczeństwie, może więc niewoli? A może w niejawnej przestrzeni osadzonego na wąskich torach miasta? To na takich ulicach funkcjonują mistyczne kawiarnie, które pojawiają się nagle wśród innych, z jakiegoś powodu monumentalnie niezauważalnych budynków. Chowam się więc w jednej z nich, siadam przy nierzucającym się w oczy stoliku w rogu. Doświadczam przytulnego zacisza. Czuję się, jakbym był gdzieś indziej, w innym, wyimaginowanym kraju. Kraju, który niby znam, ale nie potrafię go zidentyfikować. Kraju, który bardzo podobny jest do mojego.

#### *Gruntowa uliczka*

Dopiero co wypilem kawę, dopiero co zdierałem buty o bruk, próbowałem przejść przez ten niewymagający otwarty labirynt, nakładając dotychczasowe wrażenia z miasta na to, co widzę teraz – i oto już mnie tu nie ma, jestem już w jakiejś wsi, gdzie za metalowymi płotami mogą kryć się zaniedbane ogrody, średniej klasy samochody i naturalnie psy. Nazwałbym tę nieutwardzoną przestrzeń Drohobycczyną. Tak, Drohobycczyną zaczyna się bezpośrednio w Drohobyczu.

O czym myślę, kiedy tędy spaceruję? Do czego inspiruje ta płynna i milcząca przestrzeń, pełna świeżego jesiennego powietrza? Z jej wyboistą, pełną kałuż gruntową drogą i odgłosem szybko jadących samochodów, wzbijających kurz, a następnie w nim znikających?

Tak: labirynt. Jakaś jasna jego wersja. Z ciągłymi wyjściami. Labirynt, w którym jest przyjemnie. Labirynt, przez który jesteś prowadzony i który zaskakuje ciebie na każdym kroku. Przelewające się jedna w drugą dzielnice. Ulice, tak bardzo do siebie podobne, że łączą się w jedną zapętloną

promenadę. Nagle, jakby znikąd, pojawia się punkt przyciągania: drewniana cerkiew św. Jura. Podchodzę, staję, wchodzę, obserwuję, zgłębiam. Gruntowa uliczka działa dośrodkowo, wciąga mnie w siebie, dzięki czemu zwracam uwagę na pobliską cerkiew Podwyższenia Krzyża Świętego. A potem w milczeniu, bez zbędnych słów, kieruję się ku warzelni soli – niepozornemu drewnianemu grzybkowi, od którego niektórzy zaczynają w ogóle całą tę historię.

Drohobycki labirynt podobny jest do medytacji, kiedy nanizuję koła jego bruku, asfaltu, błotnistych ścieżek i wstępuję na nowe, nieznane dotąd trajektorie własnych myśli. Ta metoda jest tyleż fascynująca, ileż stanowiąca wyzwanie.

I jest, i go nie ma. Dopiero co tu, a już tam. Dopiero co bruk, a już chatka na gruntowej ulicy, a już – poza-mieście. Drohobycz zmienia się, zmienia kolory, aby znowu powrócić do poprzedniej wersji siebie.

#### Rynek

Nie dziwi fakt, że ten wynalazek urbanistów został zaprojektowany tak, jakby był miastem w mieście. To działa również dzisiaj. Można bez końca spacerować wokół ratusza w Drohobyczu, zgodnie z ruchem wskazówek zegara lub odwrotnie i za każdym razem osiąga się efekt samowystarczalnego kosmosu, kiedy miasto pomnaża swoje możliwości w postępie geometrycznym. Każde nowe, niechby i dziesiąte, przyprawiające o zawrót głowy okrążenie oferuje nową perspektywę. Nieoczywista tajemnica rynku polega na tym, że otwarcie proponuje on wyjście z własnego terytorium: ulice rozchodzą się we wszystkich możliwych kierunkach niczym strumienie wody w rzygaczu. I niezależnie od wyboru, którym strumieniem spłynąć do śródmieścia, efekt kosmosu wywołany koncentrycznymi kręgami rynku nie przestaje działać jako archetyp nieuchronnej cyrkulacji.

#### Plac z kościołem

Miejsce dla skejterów, hipsterów? Nie. A może dla punków? Może kiedyś, nie wiem. Dla starych przyjaciół, którzy siedzą na ławce i obserwują, czy ktoś z ich grona nie przechadza się obok? Tak, to na pewno. To znaczy: jedni siedzą, inni przechadzają się.

Miejsce dla ekumenizmu? Miejsce monumentalnego nastroju? Park do spaceru? Przestrzeń najbardziej centralna i jednocześnie najbardziej tranzytowa – do innych kościołów, kawiarni, uliczek? Coś w tym jest.

Pierwsze wrażenie kościoła jest imponujące. Kościół magnetyzuje, staje się niemal pierwszym kulturowym utrwaleniem krajobrazu centrum miasta. Jednak będąc jądrem, natychmiast prowokuje do ruchu w różnych kierunkach. Jest tym, co jest zawsze, a zatem tym, co staje się niedostrzegalne. Jest tym, czego potrzeba do synchronizacji z miastem, kamertonem, punktem oparcia potrzebnym do odepchnięcia, biegu, lotu i szybowania.

Plac z kościołem jest zawsze w drohobyckiej żrenicy.

Plac z kościołem to podświadomość miasta, zawsze obecne tło – żywe i niezniszczalne.

#### Ulica Stryjska

Czytając *Ulicę Krokodyli* Brunona Schulza, za każdym razem uparcie wyobrażałem sobie obecną Stryjską (mówią, że nie bez podstaw), a dokładniej jej fragment w pobliżu centrum miasta. Jest to fragment zwężony, skrzyżowanie za nim należy już bezsprzecznie do centrum. Z jakiegoś powodu właśnie tutaj, w tym najwęższym i najkrótszym odcinku Stryjskiej umieściłem portal Schulza wraz z ciasnym sklepem-labiryntem.

Gdy wjeżdżałem do miasta ulicą Stryjską, zawsze padało mi poczucie prologu: jak mnie wpuści miasto tym razem? Co mi powie? Lękiem, oburzeniem, a może jednak spokojem i wdzięcznością przepełnione będzie jego milczenie?

Idąc ulicą Stryjską z dala od miasta, czułem, jakbym był na niższym poziomie, swoistym podgórzu, które musiałem pokonać, by dotrzeć na Hruszewskiego. Stryjska daje poczucie zabłądzenia, czy może zejścia do niższego świata, w którym panuje jednak nie mniej burzliwy niż na górze ruch. To zapewne ze względu na to, że ta ulica jest granicą. Jednocześnie wejściem i wyjściem. Małym sekretnym portalem, który przechodzimy, nie będąc zazwyczaj tego świadomymi.

#### Ulica Hruszewskiego

Pracownicy kolei zapewne są tego świadomi, natomiast kierowcy prywatnych autobusów, którzy wysadzają pasażerów przy torach, zapewne nie mają pojęcia, jak bardzo miejsce to determinuje ruch w poznawaniu miasta.

Najpierw Drohobycz jest wiele obiecującą przestrzenią w pewnym wymiarze infrastrukturalnym, przemysłowym i instytucjonalnym. Potem jest akademik, potem miasto, w którym kupuje się ubrania, buty i lekarstwa oraz naprawia samochody. A jeszcze kupuje się tu tanie rowery, nie podejrzewając, że można kupić również drogie. Można tu także zjeść coś i zamówić kawę. Jak się uporać z tym kalejdoskopem? Z biegiem czasu ślepa uliczka zaczyna przyciągać bliskością centrum. Po chwili, skręcając w lewo w ulicę Pyłypa Orłyka, natrafiam na odrestaurowaną Wielką Synagogę. Tutaj miasto zwęża się, dzięki czemu unaocznia jego istnienie w antynomiami pamięci i obecnego bazarowego sznytu.

Ulica Hruszewskiego jest równoległa do ulicy Stryjskiej i stanowi w pewnym sensie jej lustrzane odbicie. Jeśli chodzi o krajobraz, to jest od niej wyższa, ale wejście do miasta przez nią jest inne: bardziej nowoczesne i bardziej równe. Ze Stryjskiej wchodzi się do miasta jakoś bardziej autentycznie, mijając pobliskie miejsca pamięci. Z Hruszewskiego natomiast wchodzi się do Drohobycza w towarzystwie cerkwi Zaśnięcia Najświętszej Maryi Panny, której wizualna atmosfera jeszcze nie nabrała należytej retrospekcji.

Wejście do miasta ulicą Hruszewskiego jest sprężyste i pewne siebie. Wejście przez Stryjską – przepełnione niewiedzą, niespodziankami i kolażami.



*Ulica Szewczenki – ulica Franki*

To są ulice bliźniacze. Cóż, Szewczenko i Franko są nierozłączni, stanowią elementy jednego kanonu. Ale jak bardzo jednak od siebie się różnią! Więc jeśli bliźnięta, to raczej dwujajowe. Równoległe, niezależne w swoim ruchu, ale jednak współzależne, połączone naczyniami krwionośnymi. Jedna ulica w paradoksalny sposób przechodzi w drugą. Pierwsza myli się z drugą. Która gdzie? Masz iść na jedną, trafiasz na drugą. Co ciekawe, przechodzą w siebie nawzajem nie swoimi początkami czy końcami, ale środkami. Jedna bez drugiej nie może się obejść: uniwersytet tu i tam, tak samo pomnik, i jeśli jedna chęłpi się Domem Ludowym, to druga – Biblioteką.

Ulica Szewczenki jest nieco bardziej centralna, bo prowadzi do samego serca Drohobycza. Tymczasem z drugiej strony, jeśli wykonać kilka drobnych manewrów, można dojść nią do ulicy Jurija Drohobycza. Ta trasa niezawodnie przebiegać będzie obok Willi Bianki, która przypomina mi lodowy pałac. Ciągłe mam wrażenie, że w każdej chwili może się on roztopić. Przelamuję się jednak i wchodzę do środka, po czym sam rozplątam się w przestrzeni sal, zdając sobie sprawę, że liczba okazji do zabłądzenia jest niewyczerpana, choć w sumie budynek sprawia wrażenie spójnego. Pierwsze piętro pozostawiam na następne spotkanie.

Ulicą Szewczenki można chodzić wiecznie, celowo lub przez przypadek, przymusowo lub nieświadomie, to najbardziej węzłowa centralna ulica Drohobycza. Każdy skręt w bok jest brzemienny w skutki. Każdy budynek, każde mieszkanie, każda mini przestrzeń jest właściwie samowystarczalna. Jeśliby zamknąć tę ulicę, wówczas można otrzymać klasyczny model miasta z jedną ulicą. Nikt nie ma jednak zamiaru tego robić. Jej reguła podobna jest do tej z rynku – wszystko działa w ten sposób, abyś ją opuścił. Powtarzające się skrety w lewo i prawo, położone pośrodku przejście do ulicy Franki, wyjście do centrum lub przeciwnie – daleko za miasto, wciąż dalej i dalej.

Przy ulicy Franki niemal obok siebie znajdują się noszący to samo imię uniwersytet, w którym pracował Schulz, oraz duży Dom Ludowy również nazwany na jego cześć (Franki, nie Schulza). Monumentalny i syntetyczny Franko obok skoncentrowanego, cichego, zapatrzonego, ale nie mniej słyszalnego Schulza. Ich po-bliskość przejawia się w lokalizacji budynków pamięci czy, jeśli kto chce – upamiętnienia.

To ciekawe, że mówiąc o jednej z tych ulic, człowiek w końcu zadaje sobie pytanie: o której z nich właściwie mówię? Zawsze okazuje się, że wbrew intencjom, chodzi o tę drugą.

Tymczasem pomnik Szewczenki w ogóle wywędrował na zupełnie inną ulicę, pewnie dlatego, że poeta nie był drohobyczaninem. Może gdyby jego pomnik znajdował się gdzieś w pobliżu, zamiennosc ulic byłaby jeszcze bardziej oczywista?

Zarówno ulica Szewczenki, jak i Franki często stają się świadkami pośpiesznego marszu ku ważnym wydarzeniom, ludziom, budynkom. Z tych budynków zwykle później się

wychodzi, a dwie wymienne ulice – nieważne, która tym razem – stają się powolną, samozadowoloną promenadą wyjścia. Ale ostatecznie to one kumulują w sobie wszystko, co najdostojniejsze.

Czasami pojawia się u mnie pokusa, by wymazać z ich recepcji wszystko, co oficjalne, i potraktować je jako wolny krajobraz. Jak zmieniają się wrażenia? Czy w stronę skondensowanej nudy, w wyniku której od razu zechcę zanurzyć się w gruntowe uliczki Drohobycza? Aby potem, w gruntowym kurzu zatęsknić za brukiem na Szewczenki i asfaltem na Franki? Znowu jakiś rewers.

*Ulica Łesi Ukrainki*

Widzę budynki, które kolażowo łączą się ze sobą, widzę instytucje, sklepy, placówki – trendowe, ulotne, tak bardzo współczesne, świadczące różnorakie usługi, zaspokajając przy tym ludzkie potrzeby tu i teraz. Widzę poszarzałe, zapomniane i zagubione miasto, domy, w których ktoś mieszkał, budynki, w których znajdowały się instytucje o zupełnie innym stylu i duchu oraz całkiem inne sklepy i placówki zaspokajające ówczesne ludzkie potrzeby. Przechodząc przez zamilkłe miasto, chciałbym uciszyć współczesną krzykliwość jego lokali. Staję się świadkiem wymuszonego palimpsestu. Nie, rzecz nie w chorobliwej nostalgii czy uprzedzeniu do współczesnych mieszkańców. To dramatyzm zamilkłych budynków, które mimowolnie stały się materiałem dla przepisywania.

*Pomnik ofiar NKWD (muzeum „Więzienie na Stryjskiej”)*

Drohobyckie palimpsesty przychodzą mi na myśl, kiedy widzę budynek jednego z obecnych budynków uniwersytetu, który niegdyś był sowieckim więzieniem i katownią (podporządkowaną różnym, choć zawsze penitencjarno-siłowym strukturo), a jeszcze wcześniej – sądem państwowym. Nieprzypadkowo więc w rozmowie, która toczyła się pod tym budynkiem, pojawiło się pytanie: czy uniwersytet może znajdować się w przestrzeni bólu, lęku, smutku i krwi? Czy nie jest to obrazą wobec tych, którzy tu byli, a zarazem wobec tych, którzy są tu teraz? A może jest przeciwnie i w ten sposób manifestuje się zwycięstwo życia nad bólem? Nie znam właściwej odpowiedzi. Pozostaje jedynie klująca świadomość tych radykalnych przekształceń. Jeszcze bardziej kluje świadomość masakry, która się tu wydarzyła: szykując się do odwrotu przed Niemcami, Sowietci zabijali własnych więźniów. Na tym miejscu, na tyłach obecnej uczelni powstało muzeum „Więzienie na Stryjskiej”. W oczywisty sposób nawiązuje ono do analogicznej historii we Lwowie, gdzie identyczne zbrodnie upamiętnia muzeum „Więzienie przy Łackiego”. Czyżby więc Lwów i Drohobycz najmocniej łączyło zachowanie sowieckich okupantów i ich krwawe pożegnanie z miastami? W każdym razie ze względu na stylistykę przemocy i stosunku do miejsc obie historie stanowią odrębną pozycję w księdze zbrodni przeciw ludzkości.



1. Bartłomiej Michałowski, *Drohobycz. Sztetl*, akwarela, 2010.
2. Roman Jaciw, *Uliczka. Ze wspomnień drohobyckich*, papier, akryl, 66 × 66 cm, 2020.
3. Ołeksandr Maksymow, *Bez tytułu*, styczeń 2023.
4. Wystąpienie Danyły Ilnyckiego w Bibliotece im. Władysława Czarnowola, Drohobycz, Druga Jesień 2022. Fot. Igor Feciak.

Idąc niskim więziennym korytarzem z łukowym sklepieniem, odczuwam, jak autentyczność przestrzeni przekłada się na rekonstrukcję emocji. Opuszczona głowa i ramiona, ponure, utkwione w dół spojrzenie robią swoje. Nie ma w tym jednak nic z taniej atrakcji turystycznej w stylu „poczuj się jak”, jest natomiast głęboki, milczący szacunek do zakatowanych ofiar, rodzaj duchowego rytuału dokonującego się z każdą kolejną wizytą. Następnie następuje cicha modlitwa pod wielkim krzyżem. Kontynuować można ją zresztą w pobliskiej cerkwi św. Apostołów Piotra i Pawła będącej częścią klasztoru Ojców Bazyliańców. Tutaj ból i empatia mogą modulować się w perspektywę trwania.

Drohobycz stał się ekumeniczny w miejscach pamięci, które świadczą o zbrodniach przeciwko najelementarniejszemu prawu człowieka. Tu – sowiecka katownia, tam – miejsce zamordowania Schulza... Obydwa miejsca stają się miejscem modlitwy. W miejscu śmierci Schulza ma ona wymiar ekumeniczny. Staje się międzyetniczną, międzykulturową, międzywyznaniową modlitwą różnych duchowych sposobów odczuwania świata, połączoną w obliczu potrzeby leczenia przestrzeni, gojenia ran, w końcu odnajdowania dróg dalszego trwania.

#### *Ulica Jurija Drohobycza*

Ulica, przy której mieszkał Schulz. Ale później. Bo przecież swoje teksty pisał, wspominając poprzednie mieszkanie na rynku. To tutaj znajduje się miejsce pamięci, miejsce aktualizacji, miejsce powrotu. Choć w pierwszej chwili zapoznania się z tabliczką informacyjną następuje rozczarowanie – bo to nie tu się urodził, bo to nie tę przestrzeń percypował. Jednak z czasem przychodzi świadomość, że miejsce aktualizacji i twórczej ekstazy jest równie ważne. Jeśli nie bardziej. Mijam dom Schulzów i widzę żyjącą własnym życiem ulicę. Ta rozszerza się, rozciąga na inne arterie, prowokuje do rozmowy o ludzkim przeznaczeniu, wizjach przyszłości, a także miejscu, w którym znajdujemy się obecnie. Ta ulica może doprowadzić do za-mieścia. Ba, może doprowadzić do jeziora.

#### *Jezioro*

Drohobycz uzupełnia kolekcję miast – i w tym też przejawia się jego dialog ze Lwowem – w centrach których nie ma zbiorników wodnych. Są za to na obrzeżach. Jezioro dostosowuje się do miejsca swoim spokojem i nie-nachalnym zaproszeniem do spacerów. Tych łatwiejszych i krótszych wzdłuż jednej strony oraz tych dłuższych i ze względu na towarzystwo lasu wymagających co najmniej lepszych butów. Zapach wody orzeźwia, nawet jeśli jezioro dawno nie było oczyszczane. Jego krajobrazowe fluidy infekują obserwatora romantycznością.

Jezioro przy pierwszym kontakcie z miastem staje się nieoczekiwanym finałem gruntowych ulic miasta. Zjawia się nagle, skłaniając do równie raptownego odrzucenia tego, co kumulowało się podczas pobytu w innych przestrzeniach i zostało zawleczone w człowieka aż tutaj. Przez

sekundę manifestują się wszystkie semantyczne konotacje słowa *szum*.

Jezioro Drohobyckie jest niepozorne, nie ma specjalnego statusu w mieście. Jest niemal tajne, znane tylko wybranym. Ale jest.

#### *Ulica Mickiewicza*

Jej długość nie koreluje z czasem, który trzeba poświęcić na pełne jej przejście. Wchodzi się i momentalnie wychodzi, nie zdążając wgryźć się w jej tkanę. Jest przewodniczką ze śródmieścia do wąskich brukowanych uliczek. Dopiero później uświadamiam sobie, że jej przeznaczeniem jest brać wędrowca za rękę i zszywać dla niego różne Drohobyce, pomiędzy którymi leży. Jest więc ona przede wszystkim pomostem, łącznikiem. Małym, niepozornym, cichym, jakby mimowolnym. Przy tym pięknym i ważnym. Mickiewicza jest krótka, niezbyt szeroka i niezbyt głęboka. To dziwne, ale nie odczuwam przy tym dysonansu, kiedy ktoś z miejscowych mówi, że dla niego istotna jest właśnie ona.

#### *Ulica Truskawiecka*

Ulica szybko przechodzących we wspomnienia obietnic. Ulica z wąską perspektywą, dzięki kordonom drzew, które towarzyszą jej we wspinaczce pod górę. Ulica fantazji na temat karkołomnych przygód i rozmów pochylonych, wspinających się po niej sylwetek. Ulica wiecznej przyjaźni Drohobycza z Truskawcem, ich nadmiernie skondensowanej więzi, ulica ucieleśniająca niezrozumiałą intensywność ich bliskości.

Ulica, która wchłonęła w siebie całą paletę Drohobycza – od starszych, ciekawych klimatycznie budynków, które zaczynają się przy samym centrum, poprzez większe obiekty, instytucje, aż po parkowy, niemalże leśny pejzaż. Od tej strony wyjeżdża się z miasta brukowaną ulicą, która z jakiegoś nieznanego dla mnie powodu zastępuje tu naturalny dla peryferii miasta asfalt.

Zejście ulicą Truskawiecką jest nie mniej interesujące i przepełniające nadziejami niż wchodzenie po niej. Przyczyna tkwi zapewne w optyce. Drohobycz znajduje się przed obserwującym. Znajduje się, ale nie rozpościera. Przeciwnie – kurczy się w dającym się zamknąć w dłoni modelu. Ten obraz usytuowanego na górze poza-mieścia, z którego wracam do miasta, przyjmując w szybkim zejściu odchyloną sylwetkę, mocno osadza się w mojej pamięci.

To tutaj przenosi mnie wyobraźnia, kiedy podróżuję z schulzowską fabułą przez rozdroża *Sklepów cynamonowych*. Bo tu się najlepiej lata. Nawet jeśli lot ten oznacza bieg, jazdę, ucieczkę czy gonitwę.

#### *Ulica Chełmska*

Wybierając się na nią, już schodząc czy wchodząc po Truskawieckiej, za pierwszym razem najczęściej przegapia się ją. I nie ma żadnej gwarancji, że następnym razem zapamięta się, kiedy skrócić. Właściwie najczęściej trafiają

na nią ci, którzy ani tego nie planowali, ani w ogóle nie domyślali się jej istnienia.

Ulica, która dochodzi do kraju, ulica, która do kraju doprowadza. Ślepy zaułek, koniec świata. Dzień Sądu Ostatecznego? Ulica, która zdaje się zatrzymywać miasto. A może to stąd miasto zaczyna działać? Może ta ulica je uruchamia? Wymyślnym labiryntem gruntowych, na wprost jawnych dróg można dostać się z niej do centrum miasta. Ale tylko w towarzystwie przewodnika, który jednocześnie uwagę wędrowca odwracać będzie rozmową. Na tyle absorbującą, by ten nie zapamiętał szlaku.

### *Ulica Wójtowska Góra*

Miałem niewiele czasu, by dotrzeć do dworca. Nawigacja sugerowała skrócenie trasy i przejście ulicą Wójtowska Góra. Prawdę mówiąc, planowałem zadośćuczynić emocjonalnej retrospekcji spędzonego w Dro dnia i przejść, czy raczej zejść, raz jeszcze ulicą Truskawiecką, wejść nią do serca miasta, przejść się prawdziwą ulicą Krokodyli, minąć teatr, spotkać się z synagogą i wyjść na ostatnią prostą, która jeszcze rano tego samego dnia była pierwszą. Wybrałem jednak tę niby krótszą drogę. Przyjemności pobytu na tej retro-ulicy towarzyszyło więc napięcie, spowodowane nieustającym mierzeniem relacji uciekających minut do prędkości marszu.

Nie, nikogo nie winię za to, że zostałem oszukany. To raczej miasto zaprosiło na strzemiennego w postaci finałowego spaceru. Nalewało karpacką nalewkę. „Chlup!” – trunek wlał się do środka, szokując spotykane na swej trasie organy, ale ostatecznie spełniając swoje zadanie: zarówno aromat, jak i ciepło w środku odczułem niezawodnie.

Na Wójtowskiej Górze budynki nie były bielone ani barwione, miały swój zwykły, spokojny kolor. Czyniący je niemal niezauważalnymi. Przez cały czas mojego pośpiesznego ruchu w pożądanym kierunku nie spotkałem ani jednej osoby, ani jednego samochodu, ani jednego zwierzęcia, ani jednego roweru. Racjonalizująca sytuację świadomość odrzucała wersję o spisku i sugerowała zbieg okoliczności. Że niby dla tej części Drohobycza to naturalny stan o tej porze dnia. Rozpaczliwie pragnąłem kogoś spotkać, żeby upewnić się, że idę we właściwym kierunku. Jednak moim jedynym rozmówcą było Google Maps, które nienasyconie wyjadało resztkę mocy baterii smartfona. W końcu opuściłem tę boczną odnogę miasta, pozostawiając sobie wspomnienie przypadkowej, ale i napiętej rozkoszy pobytu wśród jej cichych domów i bezludnych podwórzy.

### **Od pierwszej zimy do drugiej jesieni**

Jesień nie chciała się kończyć...  
Bruno Schulz, *Druga jesień*, 1937

Pierwsza jesień zakończyła się zimą. Zgodnie z kalendarzem padał śnieg. Najpierw spadł w Drohobyczu, potem zawiał do Lwowa.

Pierwsza jesień przeblyskiwała wiosną, maniła retrospekcjami lata. Jesień ma swój zapach. Różne jesienie mają różne zapachy. Wiosna też ma swój zapach. Zima, pośrodku której zdarzają się jesień lub wiosna, przejmuje ich zapachy. To one wspierają pamięć. Pomagają pamiętać i kochać. Przypominać sobie o tym, co kochasz. Przypominać sobie o tych, których kochasz.

...Chcę do was wracać – ulice i uliczki, zaułki i place, wyjścia i wejścia, figurki i pomniki, bezimienne ścieżki, niewidoczne przejścia. Rozpoznawać szczegóły waszych struktur. Przywitać się, okazać szacunek. Nawet wdzięczność. Zaświadczyć o swojej pamięci. Nie zapomniałem was. Nie przemykam jak wiatr. Odwiedzam.

...Przyjeżdżając do miasta, wpatrywać się uważnie, nasycić się pobytami, pobyc z sobą. Zrobić to jesienią. Iść znanymi szlakami, ulicami, zaułkami, iść z nałożonym na miasto nurtem myśli i rozmów. I nie robić tego gwałtownie. Pod żadnym pozorem nie stosować gwałtu.

Pierwsza jesień wpuściła mnie do miasta, stanowiła *Zeitgeist* wejścia do niego, dokonanego w lekkim upojeniu wzajemną ufnością. Ślad pierwszego zanurzenia nie wypłówał. Utrwalił się. Tamta jesień stała się odnalezioną perspektywą na Dro, konwencją odczuwania miasta, zapachem ciągłego powrotu, osią.

Druga jesień w Drohobyczu nie odbyła się. Kilka tygodni lwowskiej jesieni przypominało o jesieni w Drohobyczu, zapewne tak samo żółto-zielono-czerwonej, choć może nieco cieplejszej. Jednak zima przyszła jeszcze wcześniej – śnieg spadł już w połowie listopada.

Tymczasem w Drohobyczu wydarzyła się Druga Jesień. Na Drugiej Jesieni opowiadałem o mieście, dzieliłem się tym wszystkim, czym obrodziła moja własna pierwsza jesień w Drohobyczu.

A gdzież zatem *Druga jesień* Schulza? A gdzież schulzowska jesień? No jasne! Przemieniła się. Jest przecież efemeryczna. Nie można jej odtworzyć, jest nieuchwytna. I tym bardziej pociągająca.

### **Lokalne – uniwersalne**

Witamy na Drohobyczczynie!  
W krainie Franki, Schulza i Rajskiej!  
Oleksandr Maksymow

To ciekawe, jak twórczość Brunona Schulza staje się katalizatorem wewnątrznie uwarunkowanego postrzegania miasta. Pozwala ona na osiągnięcie synkretycznej perspektywy, łączącej historyczne i kulturowe nawarstwienia.

Nieuniknione staje się więc pytanie: czy patrzę na miasto oczami Schulza? W tej samej chwili czuję, jak moja własna optyka domaga się uznania i „własnowolności”<sup>3</sup>. Na czym się więc kończy? Rywalizacji, konfrontacji, kolażu, efektownym kalejdoskopie? A może chodzi jednak o dyfuzję? Głosów, odtworzeń i przeżyć?



\*\*\*

Pytanie, na którym zaczynam się coraz bardziej zastanawiać, brzmi: czy miasto-kosmos Schulza jest płodem wyłącznie jego egzystencji i jego autorskiej optyki, czy też *Sklepy cynamonowe* są jednak wytworem swoiście drohobyckim? Do tej pory byłem przekonany, że właściwą odpowiedzią jest pierwsza: że prowincjonalny Drohobycz miał niewytłumaczalne szczęście do Schulza. Podobnie mogłoby się poszczęścić Samborowi, Stryjowi czy Sokalowi... Gdyby ten ekscentryk urodził się właśnie tam, to pewnie i na tamtą przestrzeń skierowałby swoją pełną napięcia, energii, ale także autodestrukcyjną optykę.

Jednak teraz, i to nie bez znacznego wpływu Gombrowicza<sup>4</sup>, zaczynam myśleć o Drohobyczu jako o *genius loci* Schulza. Przy czym miałyby to być *genius loci* fatalne, jeśli można się tak wyrazić. W swej hermetycznej potencjalności. Takie, które zawsze chce przekroczyć granice i zrealizować się, ale nigdy tego nie czyni. Któremu dobrze w swym zastygnięciu, które dobrze czuje się w swoim własnym towarzystwie. Które zawsze emanuje nadziejami na realizację swych pretensji, ale z jakiegoś powodu wyczuje innego momentu. Iwan Franko wyjechał z Drohobycza, który stanowił dla niego jedynie pewien etap. Sekret Schulza polega na ucieleśnieniu własnego ja w mieście i miasta w sobie. Hermetyczność uległa mitologizacji. Choć paradoksalnie efekt recepcji schulzowskiego świata jest inny: miasto przyciąga nie tyle swoim prowincjonalnym zaciszem (prowincjonalne zacisze znajduje się już poza schulzowskimi kontekstami), ile okazją do poszerzenia własnych granic.

Drohobycz jest oczarowany samym sobą, a przy tym pozostaje świadomy swego prowincjonalizmu. Upatruje w sobie cudu, widzi w sobie załączek możliwego uniwersalnego fenomenu, kuląc się jednocześnie we własnym zaciszu.

„Oto Drohobycz!” brzmi jak zaproszenie do współtworzenia mitu, zapoznania się z nim, zanurzenia i – w konsekwencji – pomnażania go. To zaproszenie do oczarowania, zakochania się, otwartości na działanie sił jego przyciągania, wabięcia i uwodzenia.

„Oto Drohobycz!” brzmi jak spowiedź i usprawiedliwienie faktu, że miasto nie kwapi się do poszerzania swoich granic, a jeśli już to robi, to ospale i niejako wbrew woli. Brzmi to jak konstatacja pewnego zastygnięcia, sposobu bycia nie tyle zakonserwowanego, ile utrwalonego. Sposobu wabiącego swoją soczystością, pełnością i celowością.

Ta dwustronność, ten ciągły rewers, to drohobyckie *yin* i *yang* to jego bodaj największa tajemnica, najbardziej charakterystyczna cecha dystynktywna. Drohobycz i Schulz są siebie warci. Są siebie świadomi, bez siebie nie mogliby istnieć. Oczywiście Schulz wykracza poza Drohobycz i oczywiście Drohobycz wykracza poza Schulza. Niemniej jednak w tej korelacji (zarówno pierwotnej, jak i przejawiającej się we współczesnej recepcji) tkwi wzajemne uwarunkowanie.

Podważam więc teraz moje wcześniejsze przekonanie, że spojrzenie Schulza jest dominujące, że to jego optyka decyduje o wszystkim. Do tej refleksji skłonił mnie żywy kontakt z Drohobyczem, do którego przybywałem, pokonując swoje lwowskie ograniczenia. Jak każdy szanujący się badacz lokalnego tekstu, a tym bardziej jak każdy szanujący się czytelnik Schulza, nie mogłem powstrzymać się od nałożenia schulzowskiego świata na świat realnego Drohobycza, dodając do tego własną recepcję estetyki pierwszego i współczesności drugiego.

Drohobycz jest wierny sobie. Do dziś nie odważył się na pełen schulzowski kamuflaż, utkany ze stylistyki oraz doświadczenia Schulza (jak niejednoznacznym by ono nie było). Schulz pozostaje zatem mitologią dla wtajemniczonych. Potencjał oznaczenia siebie Schulzem miasto tym niemniej zachowuje.

I to wszystko ma swoje osobliwe piękno, swój urok, swoją zaletę, swoją atrakcyjność. Swoiście drohobyckie<sup>5</sup>.

\*\*\*

Kontynuując moje rozważania na temat drohobyckich antynomii, chciałbym podzielić się jeszcze spostrzeżeniem, że miasto posiada horyzontalną, a nie wertykalną naturę. Co mam na myśli? Otóż Drohobycz nie wywiera presji swoimi hierarchicznymi powiązaniem, nie przytłacza, dążąc natomiast do rozszerzania i włączania. I te kondensacje, które w nim miały i nadal mają miejsce, te skupione światy lokalne, które się tu realizują – mityczny Bruno Schulz, ożywczy Łewko Skop, fundamentalna i emocjonalnie precyzyjna Wiera Meniok, egzaltowane uważny Leonid Golberg, samoekspresyjny Ołeksandr Maksymow, refleksyjnie wzruszająca Ewa Rajska, szczęśliwa Olha Bunda (a wraz z nimi i inni) – nie kwestionują horyzontu przybysza, który w reakcji poszerza się za sprawą dziwnej i niezrozumiałej uniwersalności tych właśnie lokalnych światów. Drohobyckie kondensacje zapraszają do współdziałania, współmyślenia, współtworzenia.

Po prostu tu być.

I wracać.

## Drohobycz, który się śni

Jesieni nie można dopisać...

Jurko Prochaśko

Drohobycz, Druga Jesień, 2022

Miasto staje się legendą. Zachowując struktury, zaczyna żyć według wewnętrznych nieprzewidywalnych i asocjacyjnych zasad. Miasto staje się zamglonym, nieuchwytnym mitem, do którego wracasz we wspomnieniach lub snach.

Rzeczywiste miasto uchwycone w twojej recepcji odziera się, wznosi, leci, płynie, a jego elementy zamieniają się ze sobą miejscami, przemieszczają się. Z drugiej strony to samo miasto potrafi zachować własną logikę nastroju

i stabilną strukturę lokacji. „I miasto – nie miasto, i jawa – nie jawa. Skrząco, srebrzyście, krąży wyobraźnia” (© Bohdan Ihor Antonych).

Spotykasz ludzi, których wcześniej nie znałeś, ale powinieś lub mógłbyś znać, wybierasz szlak przez labirynt miasta, którym nie przemierzałeś go wcześniej, którym jednak mógłbyś lub chciałbyś wcześniej podążać. Ludzie tego miasta, sploty jego ulic przecinają się, łączą, miasto staje się powietrzne, ruchy jego warstw obywają się bez z góry przyjętych trajektorii. Nadrzędną zasadą jest bowiem sam ruch i mieszanie się tego, co wydarzyło się w rzeczywistości i co mogło się wydarzyć, ale się nie wydarzyło.

Wchodzisz do tych mieszkań, w których miałeś lub mógłbyś gościć, te z kolei ulegają transformacji, zmieniają się piętra, piętrzą się wnętrza, z każdą nową wizytą pojawiają się wciąż nowe i nowe pokoje z najbardziej nieoczekiwanym wyposażeniem wewnątrz. Pojawia się jakiś nieistniejący ogród. Widzisz go jednocześnie w górze i pod sobą. Spotykasz ludzi, których nie poznałeś, ale których mógłbyś spotkać. Tkacie wspólnie fantasmagoryczną tkaninę rozmowy. Nie spotykasz tych, z powodu których tu trafiłeś i których miałbyś spotkać, ale ci z jakiegoś powodu nie zjawiają się. W mieszkaniu widzisz ludzi, którzy nigdy nie byli w Drohobyczu, ale zdążyli wpiąć się w jego mitologię.

Wędrówka po mieście za pomocą pracy pamięci i oneirosu odbywa się już jakby niezależnie, w jakimś ustalonym przez wyobraźnię wymiarze, poprzez wpatrywanie się w miasto bez fizycznego kontaktu z jego brukowanymi czy gruntowymi drogami. Ostatecznie miasto oddzieliło się od swojego fizycznego wcielenia i stało się mitem, nęcącym pretekstem do rekonstrukcji przebywania w nim drogą recepcji jego przestrzeni w oddalonym wymiarze duchowym.

W nim jest przyjemnie, wygodnie i dobrze. W nim dochodzi do synchronizacji ze sobą i własną samoświadomością. Okazjonalne wędrówki do miasta umiejscowionego w krainie świadomej pamięci i podświadomego oneirosu stanowią tego niezbitą dowód.

## Przemyśleć jesień i miasto

Dziękuję Rostykowi Czopykowi, który nauczył mnie, że historia nadawana jest na żywo i póki audycja trwa, nie sposób jej dopisać.

Jesień minęła. Pozostał Drohobycz.

Drohobycz trwa.

I nie tylko jesiennie. Nowe jego oblicza i kontury, nowe optyki postrzegania przestrzeni pojawiają się także latem, zimą, wiosną... Miasto obmyśla się na nowo.

Mój pobyt we wnętrzu katedry św. Trójcy w samym centrum Drohobycza, tuż przy rynku, odsłonił właśnie nowe kontury, sprowokował nową refleksję. Ważną i niezbędną. Dlaczego nie wszedłem do tej świątyni wcześniej podczas poprzednich pobytów w mieście?

Skoncentrowane odczuwanie tu i teraz, kiedy środek świątyni staje się centrum wszystkiego, a wszystko wokół rozwija się tylko na zewnątrz – w lewo, w prawo, do przodu, do tyłu – przypominało mi wizytę w świątyni ojców bazylianów w Żółkwi czy refleksyjny nastrój cerkwi św. Jozafata w Kołomyi... Przypomniały mi się lwowskie świątynie i sam Lwów z jego miejscowym kosmosem, służącym jako miara wszystkiego, co zewnętrzne. Wszystko to, co tak dobrze znane mi było od wczesnego dzieciństwa, co wyniosłem z obecności pośród krajobrazu rodzinnych przestrzeni, tak bliskich sercu kulturowych nawarstwień i ich artystycznych ucieleśnień. Poczulem, że już kiedyś tu byłem, że dobrze to wszystko znam. Bo już to widziałem, bo już tego doświadczyłem. I odnalazłem na nowo. Czyżby Drohobycz dopiero teraz zaczął się przede mną otwierać?

Drohobycz jest wyjątkowy, ale nie jedyny. Jest wyjątkowy tak samo, jak wszystko inne jest *a priori* wyjątkowe. Prędzej czy później taka konstatacja staje się nieuchronna. Wyjątkowość Dro podświetlana jest mitologicznymi refleksjami – mieszkańcami miasta, ulicami i rozmowami, które miały tu miejsce, wizjami, które trafiły tu wraz z ich nosicielami i tu zostały zrealizowane... I – a jakże – kolorem *żowtnia*, nazwanego tak na cześć koloru liści – jeszcze nieopadłych, wciąż mocno osadzonych w gałęziach drzew.

Tak, pierwszej jesieni w tym mieście nie da się zapomnieć.

2022, 2024

Przełożył Ryszard Kupidura

\* Pierwodruk: Данило Ільницький, *Перша осінь. Есеї про Дрогобич (для Другої Осени)*, „Збруч”, 15.11.2024: <https://zbruc.eu/node/119956>.

## Przypisy

- Chodzi o Mykołę Ilnyckiego (ur. 1934) – filologa, krytyka literackiego, tłumacza i poetę. Badacza, który przywrócił do dyskursu akademickiego wiele postaci z okresu ukraińskiego modernizmu [przyp. tłum.].
- Mychajło Szalata (1937–2020) – literaturoznawca, pisarz, aktywny uczestnik życia społeczno-kulturalnego Drohobycza, honorowy obywatel miasta [przyp. tłum.].
- Własnowolny (ukr. *własnowilnyj*) – neologizm stworzony przez Jewhena Hułowycza (1975–2022), kulturoznawcę, poetę i żołnierza.
- Witold Gombrowicz, *Bruno Schulz*, [w:] tegoż, *O literaturze polskiej*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2006; Witold Gombrowicz, *Bruno Schulz*, przeł. Switłana Bresławska, Zbruč, 9.07.2022; <https://zbruc.eu/node/113059>, dostęp: 12.10.2024.
- Ten i osiem poprzednich akapitów weszły do mojego eseju o Schulzu, Antonyczu i Vogel, który został opublikowany w „Kontekstach” (nr 1–2/2023). Jest to „drohobycki” fragment będący refleksyjnym kolażem dawnego schulzowskiego i mojego współczesnego postrzegania miasta z jego widocznymi i niewidocznymi warstwami i kontekstami. Potrzebuję tych refleksji również tutaj, stąd niechaj pozostaną one jako nie wymuszone, ale celowe autorewersy.